

Trudno skupić całkowitą uwagę na rozmówcy, gdy z półki za nim spogląda na ciebie granat z zawleczką. Ciemno- zielonego koloru granat ręczny towarzyszył nam podczas naszej pierwszej rozmowy. Doszło do niej trzy tygodnie po wyjściu Nadii z rosyjskiego więzienia.

Obawiałem się tego spotkania, nie wiedziałem, czego po nim oczekiwać. Mężczyźni na ogół boją się silnych kobiet, a Nadia zasługuje na miano ich carycy. W głowie przewijały mi się relacje z jej procesów sądowych, na których pokrzykiwała na rosyjskich sędziów oraz scena z lot- niska, gdy po powrocie z Rosji na Ukrainę kilkoma krótki- mi, wydanymi ochrypłym głosem rozkazami rozproszyła tłum napierających na nią zewsząd dziennikarzy.

A tutaj jeszcze ten granat. Sawczenko, granat i ja, uzbrojony jedynie w dyktafon, notes i ołówek dziennikarz z Polski. Pierwszą rozmowę z Sawczenko odbyliśmy w jej biurze poselskim w siedzibie głównej partii Batkiwszczyna. Jej sztab przy ulicy Turiwskiej w historycznej dzielnicy Kijowa, Padół (ukr. Podił), otoczony jest wysokim, ceglany murem i obserwowany przez dziesiątki zainstalowanych na nim kamer. Do środka wpuszczani są wyłącznie zaproszeni goście. Przed wejściem muszą przejść przez bramkę bezpieczeństwa. Dyżurują przy niej ubrani na czarno młodzi, wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni.

Jak udało jej się wnieść tutaj ten granat?

– Żołnierz nie powinien rozstawać się z granatem. Gdybym miała go, kiedy dostałam się do niewoli separatystów, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej – poważ- nie mówi porucznik Nadija Sawczenko, zapalając papierosa taniej ukraińskiej marki „Pryłuky”.

W naszej rozmowie słowo „granat” pada dosyć często. Odnoszę wrażenie, że najchętniej nosiłaby go w torebce, między szminkami i tuszami do rzęs, których chyba zresztą nie używa.

Głęboko zaciąga się papierosem i kaszle. Pytam, czy ja również mogę zapalić. Pozwala. Siedzimy w kłębach dymu. Sięga po moją paczkę. – O, miętowe, mogę? A tak w ogóle mówmy sobie na ty – proponuje i ponownie za- nosi się kaszlem.

Wywiad dla Polskiej Agencji Prasowej ukazuje się w jej serwisie. Nadia okazuje się miłą dziewczyną, która chętnie odpowiada na pytania i nie pożera dziennikarzy. Na drugą rozmowę, przeznaczoną dla tej książki, zaprasza mnie już do domu. Spotykamy się jesienią 2016 roku.

Sawczenko mieszka w dzielnicy Trojeszczyna. Szare blokowisko na tym gorszym, lewym brzegu rzeki Dniepr, która rozdziela Kijów na starą i nową część. To ogromne

osiedle powstało w latach 80. XX wieku, a komunistyczne władze przydzielały w nim mieszkania młodym, perspektywnym dla ich systemu małżeństwom oraz przesiedleńcom ze skażonej strefy wokół zniszczonej przez wybuch w 1986 roku elektrowni atomowej w Czarnobylu. Dziś budowane w pośpiechu domy powoli zaczynają się sypać.

Do bloku, w którym mieszka, prowadzi droga, wijąca się wśród piwnych kiosków i zawalonych kartonami zapleczy sklepowych. Na jej piętro wiezie mnie odrapana winda z ponadpalanymi przyciskami. Zaniedbana klatka schodowa woła o remont. Nadia otwiera po pierwszym dzwonku i zaprasza do środka. Za drzwiami całkowite przeciwieństwo korytarza: schludne mieszkanie z wypolerowanym parkietem.

Przyjmuje mnie w kuchni, bo tu – jak wyjaśnia – będziemy mogli palić papierosy. Uchyła lufcik. Przedstawia mnie mamie, starszej kobiecie o wyglądzie dobrej babci, której wręczam pudełko czekoladek. – Nadiu, włóż coś na siebie, bo przeciąg, bo cię przewieje – prosi mama. Nadia nastawia wodę na herbatę, a na stole stawia popielniczkę. Częstuję ją „miętowym”, po którym, oczywiście, kaszle.